

Jest Pani aktorką teatralną i filmową niezwykle wszechstronną. Stworzyła Pani kilkadziesiąt ról filmowych, a ze swoimi licznymi kreacjami teatralnymi przemierza Pani całą Polskę. Wyreżyserowała Pani „Pestkę”, wydała dwie książki, a ostatnio ukazała się Pani płyta kompaktowa. Skąd czerpie Pani energię na to wszystko?

- Urodziłam się z taką energią. Moja matka jest taka sama jak ja. Choć życie zawodowe jej nie pasjonowało, zawsze była bardzo aktywna. Myślę, że tę energię mam po niej. Odziedziczyłam ją w genach. Ale siły do realizacji nowych pomysłów dodaje mi także wiara, że to, co robię, ma jakieś znaczenie.

- Początkowo nie miała Pani planów związanych z aktorstwem. Uczyla się Pani w Liceum Plastycznym i chciała studiować na Akademii Sztuk Pięknych. Jak to się stało, że jednak aktorstwo Panią zainteresowało?

- Wybór studiów aktorskich był zupełnym przypadkiem. Ale jak się potem okazało, dobrze zrobiłam. Weszłam w świat, który mnie nie tylko zafascynował, lecz który dał mi także wszechstronne możliwości realizacji siebie. Okazało się wtedy, że ze względu na mój rodzaj temperamentu i ekspresji, malarstwo, grafika czy rzeźba, to trochę dla mnie za mało. I sądzę, że nawet gdybym rozpoczęła studia na ASP, w końcu szukałabym innych możliwości spożytkowania mojej energii. Trzeba pamiętać, że będąc w Liceum Plastycznym miałam już za sobą ukończone studium baletowe i szkołę muzyczną. W jakiś nieświadomy sposób szukałam dla siebie miejsca gdzie indziej. I takim moim światem okazał się świat teatru.

- Czy rodzina była zaskoczona Pani wyborem zawodu?

- Trochę tak. Jednak sądzili, że jestem na tyle rozsądna, iż trzeba mi zostawić swobodę i wybór. Znali dobrze mój temperament. Wiedzieli, że szukam ciągle czegoś nowego. Byli do tego przyzwyczajeni. Moi rodzice nigdy specjalnie mnie nie ograniczali. Dawali mi swobodę w wyborze zainteresowań i towarzystwa. Byli tolerancyjni. Być może wynikało to z ich młodości. Kiedy wraz z siostrą przyszyliśmy na świat, rodzice jeszcze studiowali. Byli więc bardzo młodymi ludźmi.

- Czy Pani już wiedziała na studiach w szkole teatralnej, że wybrała Pani odpowiedni zawód?

- Na pierwszym roku studiów do tego stopnia zafascynował mnie świat aktorstwa, że

wszystko inne przestało dla mnie istnieć. Pamiętam, że zerwałam związek z chłopcem, z którym byłam kilka lat. Porywałam wszystkie kontakty towarzyskie. Niemal w całości szkoła aktorska mnie pochłonięła. Potem okazało się, że zbyt emocjonalnie podchodzę do aktorstwa. Nawet miałam problemy ze sobą. Tak bardzo mi zależało na aktorstwie i tak wiele emocji wkładałam w studia, że na jakiś czas musiałam przerwać naukę i odpocząć. Ale jeszcze wtedy, tak do końca

Dawniej niemal wyłącznie ważny był temat scenariusza. Dziś są inne czasy. Interesują mnie role dobrze napisane. Zawsze zwracam uwagę, czy mam szansę zagrać postać inną niż te, które już do tej pory grałam. Lubię wyzwania i podejmuję wszelkie ryzyko.

- Pani pierwsza wielka rola to Agnieszka - dziennikarka z filmu Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”. Jakie znaczenie miała dla Pani tamta rola?

nagroda na Pani życie? Czy coś się w nim zmieniło?

- Mam mieszane uczucia, kiedy mówię o tej nagrodzie. Powstanie filmu i nagrodę w Cannes dzieli 11 lat. Przez ten czas film był dostępny tylko w tzw. podziemiu. Te 11 lat dostarczyło mi wiele dowodów uznania za tę, pozornie njeznana rolę. Gdyby film nigdy się nie ukazał i gdybym nie zdobyła Palmy w Cannes, a później nagrody w Gdyni, nie miałabym żalu. Do dziś pamiętam,

- Czy po 11 latach, gdy oglądała Pani „Przesłuchanie” w Cannes, nie miała Pani odczucia, że dziś tę rolę zagrałaby Pani inaczej?

- Nie wiem, czy dziś potrafiłabym z taką emocją i naiwnością - w dobrym tego słowa znaczeniu - wejść w powierzona mi postać. Dzisiejszy świat na tyle różni się od tamtego z filmu, że nie wiem, czy umiałabym zagrać z taką czystością.

Skradzione dni

Z KRYSYNA JANDĄ

rozmawia Agnieszka Małatyńska-Stankiewicz

nie wierzyłam, że odnalazłam już właściwą drogę w życiu.

- Mimo tej zawodowej pa-sji bardzo wcześnie Pani założyła rodzinę.

- Na III roku studiów byłam już w ciąży. Wyszłam za mąż. Życie dorosłej kobiety na tyle mnie pochłonięło, iż zapomniałam, że chciałam być aktorką. Pamiętam, że gdy tak siedziałam w fotelu i karmiłam dziecko, myślałam, że to jest prawdziwe szczęście. Niczego więcej nie oczekiwałam wówczas od życia.

- Jednak wróciła Pani na scenę.

- Po siedmiu miesiącach, gdy moje koleżanki dawno już zadebiutowały, z domu wyrwały mnie propozycje zawodowe. Debiut w Teatrze Ateneum - Aniela w „Ślubach panieńskich” - pociągnął za sobą kolejne propozycje: „Dorian Grey” w Teatrze Małym, później „Człowiek z marmuru” i wreszcie festiwal w Opolu i „Guma do żucia”. Wszystko to w osiem miesięcy. Dałam się całkowicie pochłoniąć aktorstwu i do dziś jestem nim zafascynowana.

- Nigdy Pani nie żałowała decyzji porzucenia domowych pieleszy?

- Nie. Potem całe moje zawodowe życie rozwinęło się w naturalny sposób. Nigdy nie zabiegałam o role. Kolejne realizacje powodowały następne propozycje. Miałam coraz większą świadomość, jaką chcę być aktorką i jakie chcę grać role.

- Ile ról Pani odrzuciła?

- Mniej więcej tyle, ile przyjął. Myślę, że te odmowy wyznaczały moją drogę artystyczną. Te momenty były bardzo ważne w życiu.

- Według jakich kryteriów dobierała Pani role dla siebie?

- Wszystko zależało od czasów, w jakich pracowałam.

- Tej roli zawdzięczam wszystko. Do dziś jest ona moją wizytówką. Zdaję sobie sprawę, że Agnieszka w „Człowieku z marmuru” stworzyła mnie. Mam świadomość, jak

że po wręczeniu Złotej Palmy ogarnęło mnie uczucie goryczy. Zdałam sobie sprawę, iż przez te 11 lat nigdy nie dostałam równej szansy na zagranie tak pełnej roli. Wyjątkowej po-

- Krystyna Janda to przecież nie tylko aktorka filmowa. Kreuje Pani bardzo wiele ról teatralnych. Samo wyliczenie ich wszystkich zabrałoby dużo miejsca.



Fot. ANNA KACZMARZ

wiele zawdzięczam Andrzeju Wajdzie.

- Potem były następne role, a po latach także nagroda w Cannes za „Przesłuchanie”. Jak wpłynęła ta

staci - znakomicie przygotowanej reżysersko i scenariuszowo, dającej ogromne możliwości aktorskie. Złota Palma była tylko potwierdzeniem, że to coś nieprzeciętnego zdarzyło się dawno temu.

Czy granie w teatrze np. sto razy tej samej postaci jest nudne?

- Nie, ponieważ jest to spotkanie z żywym człowiekiem. W teatrze nigdy się nie nudzę,

a praca na scenie mnie nie męczy. Nawet jeżeli nie mam specjalnego nastroju. Przecież trzy wieczorne godziny spektaklu teatralnego następują często po trudnym dniu: deprymującym lub emocjonującym. Trudno się zmobilizować do grania. Mimo to nie zdarzyło mi się stać na scenie bez zaangażowania. Lubię grać w teatrze, każdy wieczór jest inny. To wcale nie są puste słowa! Każda nowa publiczność wywołuje emocje, zmieniając jakby rolę. Moje spełnienie w tym zawodzie wynika m.in. z tego, że nie straciłam wiary, iż każdy wieczór w teatrze jest nadzwyczajny. Znam wprawdzie aktorów, którzy nie dzielają takiego entuzjazmu i przychodzą do teatru, jak do biura, ale wbrew pozorom - nie jest ich wielu.

- Czy pracując z reżyserami godzi się Pani na kompromisy, czy świadomie forsuje swoją wizję danej postaci?

- Jeżeli po przeczytaniu scenariusza i po rozmowie z reżyserem okazuje się, że nie możemy dojść do porozumienia - po prostu nie przyjmuję wtedy roli. Natomiast kiedy staję przed kamerą, nie ma już nie-domówień. Wszystko wcześniej zostało ustalone. Wielokrotnie nie przyjąłam roli tylko dlatego, że miałam inną wizję niż reżyser. W takich sytuacjach najczęściej przekonuję reżysera, aby zaangażował inną aktorkę.

- A jak wyglądają te negocjacje, gdy staje Pani po drugiej stronie kamery - jako reżyser?

- Dokładnie tak samo. Zanim staniami przed kamerą, jesteśmy po bardzo precyzyjnych rozmowach.

- Czyli nic nie może na planie Państwa zaskoczyć?

- Film czy spektakl teatralny pochłaniają ogromne pieniądze. Rozpoczęcie zdjęć jest zbyt wielką odpowiedzialnością, aby decyzje zapadały dopiero w momencie realizacji. Mimo różnic zdań - dotyczących drobiazgów - nigdy nie zagrałam inaczej niż reżyser sobie tego życzył. Lojalność i etyka w tym zawodzie jest rzeczą podstawową. Przecież reżyser podpisuje film czy spektakl swoim nazwiskiem.

- Czy popularność Pani przeszkadza?

- W tej chwili żyję już w dużej izolacji. Prawie wcale nie pokazuję się publicznie. Prywatnie nie bywam w publicznych miejscach. Zwyczajnie sobie tego oszczędzam. Jeżdżę samochodem, idę tylko tam, gdzie jestem umówiona. A najczęściej spotykam się w miejscach, gdzie nikt mnie nie może zobaczyć. Niedawno jednak, pierwszy raz, znalazłam

Dokończenie na str. 40

się w sytuacji życiowej, w której dziękowałam Bogu, że jestem osobą tak znaną. Gwałtownie potrzebowałam pomocy lekarskiej dla mojej matki. Boję się myśleć, co mogłoby się stać, gdyby nie moja popularność.

- Jako popularna osoba dostaje Pani pewnie mnóstwo listów. O czym piszą do Pani wielbiciele?

- Ton tych listów świadczy o tym, że ludzie po obejrzeniu mojej roli uważają mnie za ko-

zawód i dlatego już nie ma w nim miejsca na nieprzewidywane sytuacje i nieświadome porażki.

- Doświadczenie w zawodzie, uznanie publiczności. Czuje Pani większą odpowiedzialność za przygotowywane role?

- Ilość pochwał, nagród od publiczności, jakie na mnie spadły w ostatnich latach, powoduje, że czuję na sobie ogromną presję. Mam świadomość, że widzowie oczekują ode mnie czegoś wyjątkowego.

Skradzione dni

gość bliskiego. Ostatnio znowu w telewizji był emitowany film „Kochankowie mojej mamy”. Otrzymałam dużo listów. Nieznane osoby zwierzały mi się, że np. dzięki filmowi zrozumiały swoją matkę lub swoje dziecko. Samotna kobieta napisała, że odnalazła sens życia. Będąc natomiast w Krakowie dostałam list, w którym młody człowiek napisał, że oglądał 14 razy „Pestkę”. I ten film pozwolił mu wybrnąć z dużego moralnego problemu osobistego. Tego typu listy są dla mnie największą nagrodą.

- Dostaje Pani inne listy, np. groźby albo prośby o pomoc?

- Oczywiście. Dużo listów z prośbą o pomoc dla chorych dzieci. Dostaję także odcinki renty z błaganiami o wsparcie. Piszą do mnie żony pijaków, które nie mogą sobie poradzić z utrzymaniem swoich dzieci. Dostaję dużo i takich listów.

- Nie boi się Pani otwierać listów? Większość z nich jest opisem jakiegoś ludzkiego dramatu.

- Boję się przede wszystkim anonimów. Dostaję ich dość dużo. Piszą je ludzie niezrównoważeni psychicznie, którzy chcą mnie dotknąć i zranić. Szaleńcy życzą mi bardzo źle. W tych listach znajdują się opisy nie tylko najgorszej męki, ale także śmierci, jakiej mi życzą. Już doszłam do takiej wprawy, że z całych gór korespondencji od razu potrafię wskazać, które listy pisane są przez nich.

- Prowadzi Pani ciepły, rodzinny dom, mimo że większość czasu spędza Pani poza nim. Jak to jest możliwe?

- Dlatego, że mam dom pełen ludzi. Mieszka mama, ciocia, mąż, synowie, trzy psy i ptak gwarek. Mój mąż ma taki rodzaj pracy, że nie ma go np. przez trzy lub pięć miesięcy w Polsce, ale jak wraca, to cały czas spędza w domu i zajmuje się chłopcami. Oni są w takim wieku - 8 i 10 lat, że potrzebują w tej chwili przede wszystkim ojca. Nie jestem zazdrosna o własne dzieci. To wspaniale, że tak bardzo kochają moją matkę i moją siostrę. Nie należy się w to wtrącać. Taki układ jest tylko z korzyścią dla dzieci. Mam nadzieję, że ja i tak jestem dla nich kimś najważniejszym. Czują we mnie „przywódcę stada”.

- Czy izoluje Pani swój dom od spraw zawodowych?

- Tak. Dom nie jest miejscem na roztrząsanie emocjonalnych problemów związanych z tym zawodem. Jestem świadomą aktorką. Histerie, jakie mi się zdarzały 25 lat temu, nie powtórzą się już nigdy. Rozumiem, na czym polega ten

A ja mam przecież ograniczone możliwości. Każda nowa rola wywołuje we mnie pytanie, czy sprostam tym oczekiwaniom. Natomiast recenzje mam ostatnio prawie zawsze złe. Główne zdanie w każdej z nich brzmi: *Krystyna Janda nie pokazała nic nowego*. Nie ukrywam, że od jakiegoś czasu nie czytam recenzji.

- Gdyby Pani miała wybrać swoją ulubioną rolę?

- Bardzo trudno jest mi na to odpowiedzieć. W tej chwili w stałym graniu mam rolę w sztuce „Harry i ja”. Bardzo ją lubię, partneruje Januszowi Gajosowi, wcielając się w kobietę szarą i wyciszoną. Prócz tego - cały czas gram „Shirley Valentine”. Publiczność ją lubi. Shirley wraz ze mną staje się ciągle inna. Gram także moją ukochaną „Fedrę”, nad którą ciągle jeszcze pracuję, znowu jakby razem z publicznością. Jeszcze przede mną 20, 30 spektakli poszukiwań. Ciągle gram też „Marię Callas”, którą uwielbiam. To z kolei „skończona” rola. I wreszcie, moje ostatnie, ukochane „dziecko” - to „Marlena”, którą zagrałam kilka tygodni temu pierwszy raz. Spektakl ten ma jeszcze całkowicie otwartą formułę. Jest dopiero na początku drogi. „Marlena” stanowi dla mnie wyzwanie. W I akcie gram 73-letnią kobietę, chorą, alkoholicką. Dawno nie grałam tak charakterystycznej roli. Zaskakuje ona pewnie publiczność, która myśli, że będę się wdzięczyć w białym futrze. A tu okazuje się, że widzą chorą staruszkę, która nie może się zebrać, aby wyjść na scenę. Ten pierwszy akt jest dla mnie najważniejszy.

- Planuje Pani stanąć za kamerą?

- Planuję, tylko nie mam w tej chwili na to czasu. Teraz bardzo dużo gram. Dwa ostatnie lata z życia skradła mi „Callas”. Tymczasem film jest egoistyczny i wymaga całkowitego poświęcenia. Powinnam na półtora roku odsunąć się od sceny i skupić nad scenariuszem. A ja nie bardzo mam na to czas. „Callas”, „Marlena”, „Shirley”, „Fedra” - wszystkie one kradną mi moje dni. Publiczność chce oglądać, a ja mam wobec niej obowiązki teatralne. Ale przysięgam sobie, że przez dwa sezony nie przygotowuję już żadnej nowej roli teatralnej. Może wtedy znajdę trochę czasu, aby się skupić na przygotowywaniu filmu.

- A o czym miałyby być ten nowy film?

- Kilka osób pracuje już nad scenariuszem wg książki Anny Bojarskiej „Ja”. W zamyśle byłby to film bardzo interesujący - zarówno w warstwie fabuły, jak i w warstwie znaczeniowej. Za wcześniej jest jednak na konkretne rozmowy.

Rozmawiała:

AGNIESZKA MALATYŃSKA-STANKIEWICZ